



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: STEREO I W KOLORZE... ORAZ ŁOMOCIE

Ulotki reklamujące grany ostatnio w Lublinie amerykański „Rollercoaster” zapowiadają tam w sposób jako żywo przypominający czasy przedwojennej reklamy kinowej! A swoją drogą „Rollercoaster” jest wart obejrzenia. Pod warunkiem, że ma się mocne nerwy i jeszcze mocniejsze... bębniaki w uszach. Bowiem aparatura „Sensurround”, mająca zapewniać widzowi specyficzne efekty wizualne i akustyczne, dysponuje liczbą decybeli wielokrotnie przewyższającą siły zjednoczone wszystkich krajowych zespołów beatowych. (Gdzie te czasy, kiedy cienki skowyt elektrycznych gitar jednego z zespołów młodzieżowych wspierała dumna reklama: „Gramy najgłośniej w całym kraju”?) Ale tylko dzięki takiemu właśnie urządzeniu można naprawdę oddać pęd i łomot „diabelskiej kolejki” toczącej się z szaloną prędkością po niebotycznych, usłanych ostrymi zjazdami i śmiertelnymi wirażami torach - zawiedzonych nad terenami amerykańskich „wesołych miasteczek”. Trzęsie się ekran, cała sala wydaje się kołysać niby rozpędzony kolorowy wagonik i kiedy widz nie może już znieść tego huku, kołysania i wrzasku statystów-pasażerów, nagle następuje cięcie montażowe, przeskok do innej akcji i... błoga chwila odprężenia niczym w szekspirowskiej tragedii.

Jak zwykle w tego rodzaju filmach, reżyser Jacques Goldston dba o przerost „formy” nad „treścią”. „Rollercoaster” jest filmem grozy jest dreszczowcem, ale przede wszystkim jest - i ma być - swoistym osiągnięciem techniki. I to w znacznie większym stopniu niż „Płonący wieżowiec” Johna Guiliiermina, czy oglądane w Lublinie - również z użyciem aparatury „Sensurround” — „Trzęsienie ziemi”. Renomowane gwiazdy ekranu, jak Henry Fonda, Richard Widmark, Timothy Bottoms czy George Segal, mają tylko przydawać „Rollercoasterowi” blasku, konstrukcja dramaturgiczna filmu sprowadza się do rozwiązań najprostszych, a logika zdarzeń, co krok ociera się o umowność: nie ważne czy w sposób prawdopodobny ścigający wpadł na trop ściganego; ważne, w jaki sposób go ściga i chwyta. Fabuła jest prosta: młody człowiek, zdolny konstruktor-elektronik pragnący zdobyć majątek terroryzuje właścicieli „wesołych miasteczek” podkładając pod konstrukcje „diabelskich kolejek” - przemyślnie skonstruowane bomby, wybuchające na radiowy sygnał. Policja rusza do akcji nie mając żadnych danych o przestępcy

I w tym miejscu można sobie właściwie opis akcji darować. Bo oto rozpoczynają się na ekranie zmagania techniki, którą operuje przestępca i tej - którą dysponuje policja. A wszystko to rozgrywa się na tle swoistych „cudów techniki”, jakimi są pierwszorzędne amerykańskie „wesołe miasteczka”, pełne wymyślnych karuzel, „la”, diabelskich młynów i diabelskich kolejek - od samego ich widoku zapiera dech w piersiach.

Siedząc na „Rollercoasterze” w pełnej huku i wstrząsanej spazmatycznymi drgawkami sali kina „Kosmos”, myślałem, (kiedy stawało się to możliwe) o owych pierwszych latach X Muzy, gdy kino nie miało jeszcze aspiracji artystycznych, a było po prostu cudem techniki przekonywającym w sposób niemal namacalny widzów o ludzkiej pomysłowości i wynalazczości. Wtedy najważniejsze było to, że na ekranie, coś się rusza, tutaj - że sala się trzęsie i kołyszę. Przeżywałem, więc coś na kształt oszołomienia pierwszych wyznawców kina, ich pierwszych doznań artystycznych (?), sensualnych(?).

O „Rollercoasterze” można by powiedzieć jeszcze że, choć nie jest to sztuka przez duże S, to w odróżnieniu od wielu innych filmów tego gatunku, jest on swoistym, pomysłowym i doskonale fotografowanym „dokumentem” o wesołego miasteczku.

Prawdziwym miłośnikom kina poleciłbym jednak raczej grany równocześnie w Lublinie „Pojedynek” angielskiego reżysera Ridley Scotta, jakże spokojny po „Rollercoasterze” - choć również na swój sposób „krwawy” - film o wieloletnim pojedynku pomiędzy dwoma oficerami napoleońskimi, oparty na opowiadaniu Conrada. Wywodzący się z estetyki angielskich filmów historyczno-kostiumowych, których reprezentantami są choćby telewizyjni „Paloiserowie”, ale przede wszystkim głośny ostatnio „Berry Lyndan” Stanleya Kubricka i – jest przecież „Pojedynek” (przy całej swojej „przygodowości”) filmem penetrującym istotę ludzkiej psychiki i ludzkiej natury. Na ubiegłorocznym festiwalu w Cannes jego reżyser otrzymał nagrodę za debiut artystyczny. Zwracają m.in. uwagę piękne zdjęcia, wspaniałe kolor. Natomiast nie nadaje się na szczęście, do wyświetlania z użyciem aparatury „Sensurronud”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 12, s. 14.